



piotr mrok

LUBELSKA MASAKRA

K O T E M

PODWÓRKOWYM

RW2010

PIOTR MROK
LUBELSKA MASKARA
KOTEM PODWÓRKOWYM

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2013–2015

Redakcja: Joanna Śłużyńska

Korekta: Natalia Szczepkowska, Robert Wieczorek

Redakcja techniczna: zespół RW2010

Copyright © Piotr Mrok 2013–2015

Okladka Copyright © Maciej Kaźmierczak

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2013–2015

e-wydanie I

ISBN 978-83-63598-85-3

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Oficyna wydawnicza RW2010

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

[Kup książkę](#)

Drogi Czytelniku

Historia, którą za chwilę poznasz, jest z pewnością najbardziej niedorzeczną opowieścią, z jaką się kiedykolwiek spotkałeś. Jednak to bardzo ważne, byś po przeczytaniu ostatniej strony pomyślał o niej jeszcze przez chwilę. Wiem, nie znasz mnie, wyskakuję nagle, nie wiadomo skąd, i wymagam wiele – żebyś doczytał do końca. Sam prawdopodobnie wyśmiałbym kogoś takiego i dał mu adres dobrego psychiatry. Tym bardziej jestem w kropce. Ale muszę spróbować, gdyż w moich rękach leży los dziewczyny, którą kocham. Uśmiechasz się, a to oznacza, że wiesz, o czym mówię. Bo gdy kogoś kochasz, mógłbyś godzinami przyglądać się, jak je, śpi, czeka na autobus. Już wiesz, co czuję i dlaczego proszę o pomoc.

Błagam cię, przeczytaj do końca, a dopiero potem zdecyduj, co o tym wszystkim sądzisz. Nie masz nic do stracenia, w najgorszym wypadku przeczytasz po prostu zakręconą historię, która umili Ci czas. Oczywiście istnieje też szansa, że mi zaufasz, uwierzysz i odmienisz wszystko.

Autor

1.

Zabawne. Dopiero tamtego dnia uświadomiłem sobie, że wnętrze restauracji „Ulice miasta”, przylegającej do Lubelskiej Bramy Krakowskiej, wystylizowane zostało na przytulną uliczkę starego miasta. Ze ścian na gości spoglądały okna kamieniczek z firankami, witryny: sklepu kolonialnego, cukierni, fryzjera. Czasem, pogrążeni w nieistotnych detalach, nie zauważamy rzeczy oczywistych i zapominamy o tym, co ważne.

– I tylko po to mnie tu ściągnąłeś? – zapytał Marek, mój starszy brat, wpatrując się w dno kufla, które z bezlitosną szczerością oznajmiło, że złocisty trunek właśnie się skończył.

– Aha – odpowiedziałem, omal nie dławiąc się pierogiem z bobem. Uwielbiam bób, więc zrozumiałe, że jadłem łapczywie. Wyglądałem zapewne jak zadowolony chomik, który napchał sobie policzki pysznościami i najchętniej poszedłby już spać.

– Chcesz wycyganąć ode mnie trzy tysiące złotych na strój szturmowca ze Star Wars, żeby przyjęli cię do dzieciennego klubu?

– Pięćset pierwszy Legion to elita. Mają surowe zasady odnośnie przyjmowania nowych członków. Kandydat musi mieć strój możliwie najbardziej podobny do filmowego. Niedopuszczalne są nawet różnice w odcieniach kolorów.

Na talerzu zostały jeszcze dwa pierogi. Przez chwilę z pietyzmem celowałem w jednego widelcem. Szkoda, że to już prawie koniec, pomyślałem. Zamówiłbym jeszcze jedną porcję, ale nie miałem więcej pieniędzy. Nadziałem przedostatnie trofeum tak mocno, że metalowy ząb zazgrzytał o talerz. Zamruczałem. Mojego zadowolenia nie podzielała kelnerka obsługująca sąsiedni stolik. Zmierzyła mnie karcącym spojrzeniem, jakbym właśnie zjadał jej kota i popijał złotą rybką.

– Młody, ja czasem poważnie się zastanawiam, czy my naprawdę mamy wspólną matkę – to mówiąc, brat z gracją drwała wałnął kuflem o blat.

Kobieta znów spojrzała na nas wzrokiem, który nie zwiastował nic dobrego. Pewnie zastanawiała się, kiedy zaczniemy bekać i pierdzieć. Albo, nie daj Boże, prać się po pyskach.

– Może ty jesteś adoptowany? – zastanawiał się na głos Marek. – To by wszystko tłumaczyło. Ja nie byłem taki lalusz i nie wpierdalałem pół chleba na śniadanie. Spójrz na siebie, człowieku. Czy ktokolwiek w ogóle robi stroje szturmowców takich rozmiarów? Widziałem *Gwiezdne Wojny* i jedynym osobnikiem twojego kalibru był Jabba.

– Bardzo zabawne, proszę, nabijaj się dalej. To takie dojrzałe.

– Darek, posłuchaj, gdybyś chciał sobie kupić laptopa, motor, kamerę czy cokolwiek bardziej użytecznego niż latarka na baterie słoneczne, to uwierz, pożyczylbym ci te pieniądze. Co mówię, dałbym ci je bez mrugnięcia okiem!

Oho, zaczyna się, pomyślałem, w panice szukając wyjścia awaryjnego, by uniknąć nieuniknionego, które nadchodziło niczym deszcz z czarnych chmur. Panie Boże, spraw, by lokal się zapalił. Samozapłon w zimie? Wiem, że to trudne, ale dla Ciebie przecież nie ma rzeczy niemożliwych. Ostatnio co prawda nieco zaniedbywałem wizyty w świątyni, ale czy to powód, byś pozwolił mi tu umrzeć podczas słuchania moralitetu brata?

– Wiesz, że mam pieniądze, a te trzy tysiące to dla mnie tyle co nic.

Ta płyta już tak się zdarła, że wolałbym słuchać szumu telewizora bez anteny. Wielka firma informatyczna – tymi rękami zbudował ją od zera. Gównu prawda, pofarciło się braciszкови, że tata został radnym i załatwił mu przetarg na oprogramowanie dla urzędu pracy.

– Tymi rękami zbudowałem firmę. A przecież też mogłem siedzieć pod spódnicą u mamusi, bawić się żołnierzykami, gramy komputerowymi lub wymyślać bajki. Człowieku, spoważnij, za półtora roku masz maturę. Ja w twoim wieku...

Włożyłem do ust ostatniego pieroga. Już nie smakował tak dobrze. Chciałem tylko przełknąć i wyjść.

– A co ci da ten Legion? To jakaś objazdowa trupa cyrkowa? Zarobicie miliony?

Nie zamierzałem odpowiadać. Nie zrozumiałby, że to jedyna szansa na dołączenie do klasowej paczki. Czym innym mógłbym im zaimponować? W tym roku polski Legion miał w wakacje jechać na obóz do Francji; to była niesamowita okazja, by zobaczyć kawałek świata. Nie wspominając o tym, że bujałem się w księżniczce Lei, znaczy Basi, drobnej, kasztanowłosej dziewczynie, z warkoczem opadającym aż do samego końca pleców, a nawet niżej. Ale ona umawiała się tylko z legionistami.

– Tak myślałem. – Pokiwał głową, nie doczekawszy się odpowiedzi. – Zmądrzej, człowieku, matka wiecznie żyć nie będzie, a ty pewnie nadal piszesz te swoje bzdurki. Pamiętam, że gdy jeszcze mieszkaliśmy z wami, to miałeś cały kajet z tymi wypocinami. Statki kosmiczne, lasery, ufo.

– Teraz piszę kryminały – odparłem. – Fantasy jest zbyt oklepane, a SF zbyt niszowe.

– O, jakaż zmiana. – Marek zaśmiał się. – A gdzie można kupić twoje dzieła?

Nie dam się sprowokować, postanowiłem, i powtarzałem to sobie w myślach niczym mantrę.

– To kwestia czasu. Teraz piszę opowiadanie o socjopacie.

Marek obejrzał się, obracając głowę niemal o sto osiemdziesiąt stopni, by zlustrować nogi kelnerki. Musiało zaboleć, ale znałem brejdaka i wiedziałem, że gdyby zaszła konieczność, dla ładnej panienki polizałby się po łokciu, nawet jeśli musiałby w tym celu złamać sobie rękę. Jakim cudem Dorota tak długo z nim wytrzymała? Nie mam pojęcia.

– No, mów, mów, słucham, słucham – ponaglił, patrząc na mnie rozbawionym wzrokiem.

– Kończę właśnie szóste opowiadanie z serii. Jak uzbieram z dziesięć, może wyślę do jakiegoś wydawnictwa.

– A oni z otwartymi rękami je przyjmą i od razu wypiszą czek na pięciocyfrową kwotę. Przestań żyć mrzonkami. Z pisarstwa się nie utrzymasz, do tego trzeba mieć talent, a ty w gimnazjum ledwo wyciągnąłeś tróję z polskiego; w technikum, jak słyszałem od matki, nie idzie ci lepiej.

– Suchar mnie nie lubi – wtrąciłem.

– Kto?

– Pan Zachariasz, sor od polskiego.

– A, DżejZiii, pamiętam, niezła piła, ale idzie przywyknąć. Mały, zrozum, energetyk to nie pensjonat dla panienek. Chciałeś bawić się lalkami w domu, to było iść do liceum.

Brat chodził do tego samego technikum co ja, więc znał realia. No ale on był typem łobuziaka, po studiach poszedł do wojska na ochotnika i bawił się tam równie dobrze jak na balu karnawałowym. Może faktycznie mieliśmy innych starych.

– Prześladowe mnie niczym inkwizycja! – jęknąłem.

– Matka mówiła, że masz pały za nieczytanie lektur.

– Bo to same nudy. Tych książek nie da się czytać. Taki *Pan Tadeusz* albo *Dziady* – co mnie, kurde, obchodzi, że nie mieli niepodległości? To było dawno. A zresztą teraz ją mamy, i co? I nic. Dalej gównem z tego.

Marek walnął pięścią w stół, aż kufel podskoczył.

– Wyrażaj się, młody! – krzyknął. – Wam to się teraz w głowach przewracało. Tylko gry wideo, komiksy i głupie filmy rysunkowe o ludziach z oczami jak szklanki. Pierwszy komputer kupiłem sobie z pieniędzy za zbieranie truskawek. Za dobrze wam, to i śnicie o wyspach Bergamutach.

– Też czytałeś komiksy, *Tytusa, Kajko i Kokosza, Kleksa*.

– Nie można ciągle żyć w świecie marzeń, trzeba zdobyć wykształcenie i dobrze płatną pracę. Tylko to się liczy. Ciężka praca, a nie manna z nieba. Pieniędzy nie da się zarobić, ot tak, zaraz i już.

– Powiedz to twórcy Facebooka czy tym od Google.

– Poszczyściło się im i nic ponadto. Minie moda i znikną jak wiosenny śnieg.

– Co u Doroty? – zapytałem, zmieniając temat, gdyż jak zwykle dobiliśmy do ścian, a nie zamierzałem tym razem iść na noże.

– Siedzi nad kolokwiami. Studenci są coraz głupszy. Prostych spraw nie łapią, najchętniej by ich pooblewała, ale dziekan naciska, bo chce, by słupki statystyczne ładnie wyglądały – odpowiedział Marek.

– Ta, czyli nic nowego.

Piersiasta kelnerka przepłynęła przez salę, niosąc na tacy dwa kieliszki z nalewką. Postawiła je przed mężczyznami siedzącymi przy sąsiednim stoliku, zachwalając trunek jako domowej roboty. Mój brat lustrował dziewczynę od stóp do głów, jakby całe dotychczasowe życie spędził w zakonie. Częściowo go rozumiałem, niezła była, ale żeby aż tak się gapić...

Z głośników rozwieszonych na ścianach knajpy dobiegała melodyjna piosenka z lat sześćdziesiątych:

Friends ask me „am I in love”

I always answer „yes”

Might as well confess

If the answer’s yes

Maybe, you may love me too

Oh, my darling, if you do

Why haven't you told me?

Da-dum, da-da-da-da-da-da-da

Da-dum, da-dum

Da-da-da-da-da-da-da-da

Da-dum, da-dum

Da-da-da-da-da-da-da-da

Da-dum, da-dum

Może to dziwne u nastolatka, ale lubiłem lata sześćdziesiąte. Ludzie wtedy mieli jakieś ideały, cieszyli się drobnostkami. Marek nazwałby ich niepoprawnymi marzycielami. Ale ci marzyciele polecili przecież w kosmos, no i mieli Beatlesów, oraz Elvisa Presleya. A my dziś co mamy? Dodę, Lady Gagę, no i Justina Biebera.

Jeden z mężczyzn przy sąsiednim stoliku był chyba profesorem akademickim, gdyż opowiadał drugiemu o rzezi niewiniątek, jak określił zbliżające się kolokwium, które zaplanował dla swoich studentów. Po drugiej stronie sali, obok drzwi, siedziały dwie psiapsioły, głośno plotkując o kolegach z banku. Trajkotały jak katarynki i szczerze powiedziawszy, z każdą sekundą zaczynałem żywić do nich coraz bardziej mordercze uczucia. Gdy obrobiły już wszystkich znajomych, zaczęły opowiadać sobie brazylijską telenowelę, i wtedy pomyślałem, że nie przejąłbym się, gdyby któraś nagle się zakrztusiła. Może to by je nauczyło, że jak się konsumuje, to się nie papla.

Dzwoneczek umieszczony nad drzwiami cicho zakwilił. Do lokalu weszło dwoje kolejnych klientów. On, postury przerośniętego Minotaura, musiał się schylać w progu, by nie przywalić głową w futrynę. Z szarego prochowca, który na nim wisiał, wystarczyłoby materiału na namiot dla oddziału skautów. Zdziwiłem się, bo przecież na dworze trząsał mróz, a kolo wystroił się w lekki płaszczyk, na jego

głowie zaś, wielkości dyni, tkwiła biała panama. Kobieta, która z nim przyszła, najwyraźniej urwała się z tego samego cyrku. Wychudzona i żylasta, mogła mieć koło metra pięćdziesięciu wzrostu, może mniej. Kruczoczarne włosy, oprószone śniegiem, związane były w kucyk, a oczy jak dwa kawałki węgla upodabniały ją do bohaterki filmu *Krąg*; tej, co wyłaziła z telewizora i zabijała w drastyczny sposób Bogu ducha winnych ludzi, którzy siedem dni wcześniej obejrzeliby feralną kasety video.

Ludzie są dziwni. Najpierw zgrywają chojraków, a potem jęczą, że są chorzy. Mogliby się chociaż pozapinać.

– Mówię ci, stary, ile mam roboty. Nie mogę się opędzić od zleceń – oświadczył Marek, przerywając niezręczną ciszę.

– To świetnie – odparłem.

– A co w szkole?

– Nuda, a co ma być.

– Można przeszkodzić?

Przeszedł mnie dreszcz, gdy usłyszałem ten chrypiący, gardłowy pomruk. Nie musiałem nawet odwracać głowy, by wiedzieć, do kogo należał. Zerknąłem na mężczyznę w kapeluszu, patrzącego na nas z góry, i odniosłem dziwne wrażenie, że skądś go znam. Choleria. *Déjà vu* zawsze jest niepokojące, ale to konkretne wibrowało pod czaszką jak komar, który nie da ci usnąć w nocy, dopóki go nie zabijesz kapciem.

– Tak, słuchamy – odparłem, patrząc na orli nos czarnookiej kobiety. Oby to nie byli kolejni akwizytorzy, bo nie zdzierzę. Nienawidziłem tych naciągaczy jak psów. Dostawałem szału, gdyż traktowali ludzi jak debili. Wydzwaniali domofonem z rana i wciskali maszynki do golenia swetrów czy nietłukące się talerze.

– Czy możemy się przysiąc? – zapytała czarnooka.

Musieli wczoraj ostro zapić, bo głosik miała równie miły dla ucha jak jej towarzysz, tylko o nieco cieplejszej barwie.

– Czy my się znamy? – zapytałem, wpatrując się w twarz faceta, obsianą bliznami niczym zbocze wygasłego wulkanu zastygłą lawą. To nie była facjata, którą łatwo się zapomina. Dlaczego więc nie mogłem skojarzyć, gdzie ją już widziałem?

– I tak, i nie – odparł. – Mamy sprawę do obgadania.

Kolegowałem się w podstawówce z jednym takim równie urodziwym gościem. Stosował Clearasil non stop, ale przynosiło to podobne efekty, co polewanie ognia benzyną. Mężczyzna stojący przede mną mógł mieć z pięćdziesiąt parę lat. Podobieństwo istniało, i to bardzo niepokojące podobieństwo. Może to jakiś krewny?

– Mów pan szybko, bo nie mamy całej wieczności. Nic od was nie kupimy, nie zapiszemy się do sekty, nie damy jałmużny, nie mamy fajek – wyartykułował szybko mój brat apodyktycznym tonem. – Więc, jaka sprawa, wodzu? Mów albo spadaj.

– Krótka – mężczyzna uśmiechnął się tajemniczo – ale za to z tłumikiem.

Marek zaczął rechotać.

– Bez jaj, facet, kpisz sobie czy rozumu szukasz? – zapytał, wciąż parszkając śmiechem. Okulary na jego nosie podskakiwały. – Halloween już było, Prima Aprilis dopiero przed nami. A może to ukryta kamera?

Mężczyzna rozchylił poły płaszcza. U paska spodni dyndała skórzana kabura, a w niej tkwił wielki pistolet ze stalowym cylindrem tłumika zamocowanym na lufie.

– Idziecie z nami i to *molto presto* – rozkazał facet, nim zdążyliśmy zamrunąć.

Marek momentalnie przestał się śmiać i szeroko otworzył usta, popatrując to na mnie, to na gnata, to na faceta i jego kumpelkę. Zabrakło mu języka w gębie, rzecz niespotykana. Ja prawdopodobnie nie zrobiłem mądrzejszej miny niż on. Nic dziwnego; po raz pierwszy widziałem z bliska broń palną i jakoś nie zamierzałem powątpiewać w jej prawdziwość.

– Wow, wow, wow. – Marek pierwszy się przełamał – To jakieś ogromne nieporozumienie.

– Dokładnie – dodałem. – Usiądźmy i porozmawiajmy, wszystko się na pewno wyjaśni.

– Powiedziałem, kurwa, podnosić dupy z krzeseł i to migiem – zawarczał facet, kładąc dłoń na spluwie.

– Andrzej – wysyczała do niego czarnooka – zachowuj się.

Zignorował kobietę i patrzył przed siebie coraz mniej ludzkim wzrokiem, jakby zapadał w głęboki trans. Odniosłem dziwne wrażenie, że stoję w ciemnym lesie, naprzeciw świeżej mogiły, z moim imieniem wydrapanym na tabliczce białej w ziemię. Coś mi mówiło, że jestem bliski przydziału do tego lokalu, szczególnie jeśli zrobię coś głupiego.

Zamieszanie przy naszym stoliku przyciągnęło uwagę pozostałych gości. Zamilkli i oczekiwali z nabożnym skupieniem na rozwój wydarzeń. To dlatego *Big Brother* odniósł tak niebywały sukces. Ludzie uwielbiają podglądać życie innych. Interesują ich cudze problemy, zwłaszcza dramaty. Jeden rozgrywał się na ich oczach i nie zamierzali przeoczyć ani jednego kadru tego wspaniałego widowiska, nawet jeśli będzie miało tragiczny finał – przede wszystkim wtedy.

Kelnerka zatrzymała się na środku sali, najwyraźniej nie wiedząc, co się dzieje, i czy ma podejść, czy powrócić do swoich spraw. Dzwon po policję, kobieto, powtarzałem w myślach. Modliłem się, by okazała się telepatką albo przynajmniej była członkinią Gromu. Ale ona po prostu stała.

– To jak będzie? Po dobroci czy po złości? – Mężczyzna w panamie nie ustępował.

Wątpiłem w jego dobroć, a złości wołałem nie prowokować, więc odparłem:

– Szeroko się wozisz, facet. Rozejrzyj się. Lokal pełen ludzi, centrum miasta. Chyba przeszarżowałeś. Gębę masz jak jeden wielki znak rozpoznawczy. Przed

takimi akcjami zainwestowałbym w Clearasil albo gumową maskę. Tu są kamery, człowieku. – Czasem tak mam, jak się zdenerwuję, gadam trzy po trzy i wzbiera we mnie głupia odwaga. Matkę już kilka razy dyrektor wzywał do szkoły, bo odpyskowałem jednemu czy drugiemu sorowi. – Zostawcie nas w spokoju i zapomnijmy o sprawie.

Nim odpowiedział, drzwi znów zadzwoniły i do sali wszedł jeden z kelnerów, taszcząc w obu rękach pękate reklamówki z zakupami.

– Sami widzicie, za dużo świadków. Opuśćcie – dodał Marek. W końcu pozwolił sobie na głęboki oddech.

Przyjemniaczek w kapeluszu rozejrzał się i chyba faktycznie dotarło do niego, że nie pójdzie tak łatwo, gdyż zdjął rękę z pistoletu i ponownie zakrył go płaszczem. Poczułem, jak ulga rozlewa się po moim ciele ciepłą, kojącą słodyczą.

– Ta – burknął krościaty. – Mały ma rację, siostrzyczko, za dużo świadków. Sama widzisz, że twój plan był do dupy.

Jego dłoń zanurkowała pod płaszcz. W następnej chwili rozległ się cichy trzask, a głowa kelnera eksplodowała niczym świeży melon. Drugi trzask. Taca, którą trzymała długonoga kelnerka, upadła z brzękiem na posadzkę, a potem dziewczyna runęła w ślad za nią. Morderca skierował pistolet w kierunku mężczyzn w garniturach. Zdążyli poderwać się z miejsc, jak stado kuropatw wypłoszone z wysokiej trawy. Facet szarpnął dwukrotnie za język spustu.

Profesor wpadł twarzą w talerz zupy, a jego kolega odbił się od krzesła i znieruchomiał na podłodze w groteskowej pozie. Policja z pewnością zrobi kredą bardzo ładny obrys ciała, pomyślałem.

Nie wiem, dlaczego kobiety muszą krzyczeć. Gdyby idiotki z banku siedziały cicho, lub zrobiły coś konstruktywnego, typu rzucenie się biegiem do drzwi, to mogłyby nadal oglądać telenowełe i drażnić otoczenie swoim dwuosobowym

maglem. Milczenie bywa złotem. Dwa trzaski później zostały ozłocone na wieczność. Płakać nie zamierzałem, ale po co od razu zabijać, wystarczyłoby wsadzić im knebel.

Taką ładną muzykę grają – szkoda, że już zawsze będzie mi się kojarzyła z masakrą; zmartwiłem się tym szczerze, jakbym nie miał poważniejszych problemów. Ewidentnie ścirowałem.

Su-sanna, Su-sanna,

Su-sanna, I'm crazy loving you.

Mój ojciec kochał tę piosenkę, pomyślałem, patrząc na pobożowisko.

– Czy teraz, gdy rozwiąaliśmy już problem świadków, możemy powrócić do tematu wspólnego spaceru? – zapytał mężczyzna, chowając broń. Z przerażeniem stwierdziłem, że zabicie sześciorga osób uspokoiło go. Naprawdę mieliśmy przesrane.

2.

Oczywiście grzecznie wstaliśmy i poszliśmy z naszymi nowymi przyjaciółmi. Kim bylibyśmy, odrzucając ich propozycję? Stygnącymi trupami. A tego chcieliśmy uniknąć, wyjątkowo zgodnie. Dobrze, że pozwolono się nam ubrać. Wątpiłem jednak, by z troski o nasze zdrowie.

Na zewnątrz restauracji, na środku chodnika stał Cadillac żywcem wyjęty z filmów o gangsterach. Zostaliśmy wepchnięci na tylne siedzenie, a obok nas dokooptował się krościaty. Kapelusza oczywiście nie zdjął. Karlica poszła do przodu wozu, gdzie za kierownicą czekał mężczyzna w białym garniturze. Kolejny, któremu za gorąco? Na Eskimosów nie wyglądali.

– Były jakieś problemy? – zapytał kierowca. Przypominał nieco Bruce'a Willisa, ale tego z czwartej części *Szklanej pułapki*, łysego jak kolano.

– Żadnych – odparł przyjemniaczek w kapeluszu. Kobieta ciężko westchnęła i pokręciła głową. Kierowca zachichotał.

Spojrzałem na brata porozumiewawczo. Przyjemniaczek to zauważył i wałnął mnie łokciem w żebro, warcząc:

– Tylko bez numerów. Chyba że chcecie, by znów jakiś świadek przez was zginął. Nie zadręczy mnie to, ale Maria znów będzie marudziła.

Zacząłem się poważnie zastanawiać, z jakiego szpitala wariatów zwała ta menażeria. Z dwojga złego wolałbym zostać porwany przez zdrowych psychicznie bandytów, niż przez socjopatów, którzy w zaciszu piwnicy urządzają sobie ucztę, wycinając i smażąc kolejne kawałki mojego ciała.

Wóz ruszył z piskiem opon i o mały włos nie potraciliśmy zgarbionego staruszka kuśtykającego o lasce. Nic dziwnego, że się im spieszyło – przecież urządzili w restauracji bajzel, na widok którego każdy grabarz dostałby orgazmu. Lada moment mogła się tu zwalić cała brygada policji, oddział antyterrorystów i Bóg wie kto jeszcze.

Samochód pędził ulicami Lublina, ignorując znaki drogowe i sygnalizację świetlną. Śnieżycą, która szalała na zewnątrz, każdego średnio rozgarniętego kierowcę zatrzymałaby w domu; a łysy popisывał się istic samobójczą jazdą. Albo miał więcej szczęścia niż rozumu, albo gość był spokrewniony z Kubicą.

– Słuchajcie, to nie ma sensu – zacząłem i pochyliłem się nieco do przodu.

– Wracaj na miejsce – rozkazała kobieta – dziś już wystarczająco narozrabiałeś.

– Nie wiem, o czym pani mówi.

– A ta inteligentna uwaga w kawiarni? Za dużo świadków, odpuście... Równie dobrze mogłeś od razu zaproponować: zabijmy kobiety, zgwałćmy dzieci, a potem zgwałćmy też zwłoki kobiet.

– Tak powiedział? Odpuście? – Kierowca zaśmiał się. – Ja pierdolę, co za idiota. Ostatni raz Andrzejek odpuścił, gdy leciał na niego oddział esesmanów z MP

40, i to tylko pozornie, bo chciał się dłużej zabawić. Zwabił ich do budynku i w ciasnym korytarzu poderżnął im gardła, jakby to były kurczęta.

Rany boskie, oni faktycznie byli psychiczni! Run, Forest, run, bo to pudełko czekoladek ktoś nafaszerował arszenikiem i doprawił gwoździami. Ten cały Andrzejek chyba czytał w moich myślach, bo uśmiechnął się i pokręcił głową. Marek siedział przy drugich drzwiach. Przecież mógłby pociągnąć za klamkę, wyskoczyć i powiadomić policję. Czemu tego nie robi?

Spojrzałem na brata, a potem wymownie na drzwi.

– Zamknięte, mały, myślisz, że nie próbowałem – wyznał lekko drżącym głosem. – Poczekajmy, zobaczmy, czego chcą.

Co za idiota z niego! – płonąłem wściekłością. To jasne, czego chcą: zabić. Może wcześniej przebiorą nas w mundury wermachtu, by zrobić sobie pamiątkowe zdjęcia. Nie podzieliłem się z bratem tymi domysłami, ponieważ wystarczyło, że ja się cały telepałem. Rany, jak ja w tamtej chwili chciałem żyć! Oddałbym za odrobinę nadziei całą kolekcję figurek z *Gwiezdných wojen*, komiksy, szufladę pełną gier wideo, a nawet wypasiony komputer, który dostałem miesiąc temu.

Najwidoczniej wyjechaliśmy z miasta, bo samochód zaczął nieprzyjemnie podskakiwać na wybojach. Kierowca jednak ani myślał zwolnić, pomimo że koła tańczyły na lodzie oberki i polki. Drift starym Cadillakiem to już gruba przesada. Co potem? Przeskoczmy zerwany most, a może zabawa w tchórza z pociągami jadącymi na czołowe?

– Porozmawiajmy jak cywilizowani ludzie – zaproponowałem po raz kolejny. – Nie jesteśmy ważni, nikt nie zapłaci za nas okupu. Brat ma małą firmę komputerową, ja uczę się w technikum. To chyba jakaś pomyłka.

W przerwie pomiędzy siedzeniami pojawiła się głowa Marii. Uświadomiłem sobie, że gdyby nas złapała policja, moglibyśmy dostać mandat za brak fotelika

dziecięcego. Z drugiej strony, ten wóz chyba wcale nie miał pasów, o poduszkach powietrznych, gaśnicy i apteczce już nie wspominając.

– Bracia Kamińscy, prawda? – zapytała chropowatym głosem. – Darek i Marek? Nie odpowiedzieliśmy.

– A więc nie ma pomyłki – skwitowała.

Czyli wyjaśnienie mogło być tylko jedno.

– To przez ciebie, durniu! – krzyknąłem do brata. – Przyznaj się, w co żeś wdepnął? Nie chcę przez ciebie umrzeć. Pewnie robiłeś interesy z jakimś szemranym towarzystwem. Proszę bardzo, masz swoją prężną firmę, budowaną własnymi rękami. Jak myślisz, kim oni są? Kibice Motoru i mafia nigdy nie wybaczą, kretynie!

Uderzyłem brata pięścią w bark, potem poprawiłem w brzuch. Zamierzyłem się znowu, ale złapał mnie za nadgarstek i mocno przytrzymał.

– Uspokój się, mały. Gadasz bzdury. – Marek musiał użyć naprawdę dużo siły, by utrzymać w ryzach moje dłonie. – Jeden czy dwa ustawione przetargi nie czynią z nikogo wroga mafii. To zwykła polityka; o niej być może nie pisze się wierszy, ale to nie przestępstwo.

– Pierdolę polityków – odezwał się mój niesympatyczny sąsiad. – Są na mojej liście nienawiści, zaraz po policjantach, prawnikach oraz akwizytorach.

O, coś nas łączy, pomyślałem. Chyba lepiej zginać z ręki kogoś, kto podziela twoje poglądy. Kurwa, o czym ja myślę?! Ratunku!

– Obiecałem sobie, że zabiję każdego z listy. Bez wyjątku.

– Ale ja nie jestem politykiem – zaprzeczył przestraszony Marek. – Tylko robię z nimi interesy.

– Kupców też nienawidzę – skwitował mężczyzna, poprawiając kapelusz, który opadł mu na oczy, gdy samochód gwałtownie podskoczył. – Zginiesz, koleś – dodał na tyle przekonującym głosem, że każdy rozsądny grzesznik w tym momencie

rozpocząłby rachunek sumienia, domyślając się, że na wizytę księdza z ostatnim namaszczeniem oraz testament jest już o wiele za późno.

– Ale ja... – zaczął Marek; nigdy do tej pory nie widziałem go tak przerażonego.

– Andrzej, przestań – odezwała się czarnooka. – Nie zabijemy żadnego z nich.

Pamiętasz, mamy inny plan.

– Może przynajmniej tego drugiego. Po co nam on? – zapytał socjopata, nadal nie spuszczać morderczego spojrzenia z Marka.

– Żadnego, znaczy ani jednego – powiedziała stanowczym głosem, a patrząc na nas, dodała: – Panowie, nie bójcie się. Andrzej to dobry człowiek. No, może ciut znerwicowany, ale dobry.

– Ta, jasne, świetnie – skwitowałem. – Szkoda tylko, że w to nie wierzę.

– Nie tylko ty, mały – dołączył się ze śmiechem kierowca.

Pryszcłaty Andrzej uniósł górną wargę w pełnym ironii grymasie.

– Przegłosowali cię, prostoduszna siostrzyczko – oświadczył z satysfakcją.

Zacisnęła zęby i nadąsana odwróciła się przodem do kierunku jazdy.

Przez następne kilkanaście minut jechaliśmy w ciszy, wsłuchując się w miarowy warkot silnika oraz szum wichury, która najwyraźniej założyła się z ośnieżoną, wijącą się serpentynami drogą o to, która pierwsza zepchnie nas na pobocze. Żałowałem, że szło im tak marnie.

Gdy już byliśmy poobijani jak kartofle wiezione furmanką po kocich łbach, kierowca oznajmił:

– Dojeżdżamy.

– Świetnie – powiedział Andrzej. – Zabijanie nudy nie jest takie zabawne.

Wiecie, co mam na myśli.

Zaśmiał się ze swojego żartu. Oczywiście tylko on. Profilaktycznie wołałem się nie przyłączać, bo jak mówiła paniusia, lepiej go nie prowokować.

Samochód zatrzymał się. Pierwsza wysiadła kobieta, za nią krościaty.

– Wyłazić, ptaszki! – kapelusznik krzyknął do wnętrza wozu.

Tymczasem nie wiem jak bratu, ale mnie zrobiło się nagle super wygodnie i nie marzyłem o wyjściu. Nawet mroźny wiatr, który wpadł do środka, przywitałem z radością. A czy ja jakiś delikatesik jestem? Weźmie się w domu antybiotyk, siup pod kołderkę i po kłopotcie. Nawet lepiej, bo nie trzeba będzie drałować do budy. Co innego takie obcięcie głowy lub obdarcie, być może żywcem, ze skóry. To już nieco większy kłopot. Tak, to pewne, gdybym mógł, siedziałbym w tym samochodzie do końca świata.

– Radzę wam posłuchać, bo Andrzej szybko się niecierpliwi – ostrzegł kierowca. Trzasnęły drzwi i zostaliśmy w samochodzie sami.

Przez moment zastanawiałem się, jak wielka jest szansa, że uda mi się przeskoczyć do przodu, odpalić silnik i odjechać od tej grupy anonimowych socjopatów, w okamgnieniu i daleko, albo jeszcze dalej. Oczywiście najlepiej zanim Andrzej podziurawi nas pociskami. To była jedna z luk tego planu ucieczki. Co tu kryć, miał wprawę drań, co uzmysłowiłem sobie, wspominając jatkę w restauracji.

– Co za ludzie – wysyczała kobieta – i próbuj z takimi łagodnie.

– Może ja ich bardziej zachęcę? – zaproponował Andrzej.

To pytanie wystarczyło, byśmy w następnej sekundzie stali na baczność obok samochodu. Zawieja przyjęła nas w swoje ramiona z taką radością i zapałem, że wkrótce przypominaliśmy bałwany śnieżne. Gdybyśmy jeszcze chwilę tam postali, Polska miałaby własny gabinet figur, tyle że lodowych. Na szczęście, lub nieszczęście, obok majaczyła chata, do której w końcu poprowadzili nas porywacze.

Drzewa otaczały leśniczówkę szczelnym kordonem. Szanse na to, że ktoś nas znajdzie i uratuje, zmalały nagle z zerowych do ujemnych. W taki mróz policjanci mogli co najwyżej spisać raport w ciepелku komisariatu, popijając kawę i zagryzając pączkami. Zanim zaczną szperać po lasach, nasze mogiły dawno już porośnie mech.

Przystanąłem na chwilę tuż przed drzwiami chaty, zastanawiając się, czy naprawdę nie ma innej opcji.

– Parę kilometrów lasu w każdą stronę – powiedziała kobieta, przekrzykując zamieć.

Łysy nacisnął klamkę i wepchnął najpierw mnie, a potem Marka do środka.

Przynajmniej umrzemy w suchym miejscu, pocieszałem się.

3.

Na suficie migotała żarówka, najwyżej dwudziestka; o dziwo wystarczała do oświetlenia całej izby. Stały w niej dwa łóżka polowe, stół, kilka krzeseł, jakieś półki i kuchnia gazowa, na której w dużym garnku coś bulgotało – szczupły, jasnowłosy mężczyzna w czarnym płaszczu mieszał to coś zamasyście, dzwoniąc łyżką po ściankach naczynia. W rogu wisiała zasłona; pewnie kryła wychodek. W powietrzu unosił się fetor, przebijający intensywnością wszystkie smrody świata. Miałem nadzieję, że to nie zawartość garnka tak capi i że nas nią nie poczęstują. W obecnej sytuacji trudno by nam było odmówić, nawet mając w perspektywie zatrucie ze sraczką jak stąd do Krakowskiego Przedmieścia.

– Nie wiedziałem, że jest taki gruby – stwierdził blondas, nie przerywając mieszania zupy, czy co tam bulgotało w środku garnka, podgniętego, skisłego, zmurszałego. Miał czterdzieści parę lat, a pod nosem hitlerowski wąsik.

– Pokolenie odchowane na hamburgerach, co się dziwisz – odparła Maria.

– To może być trudniejsze, niż przypuszczaliśmy – powiedział kuchcik.

– Ludzie nie lubią grubasów.

– Bo za długo się gotują – parsknął Andrzej.

– Weźcie i zamknijcie się, bo jak was słucham, to coś mi się robi

– zdenerwowała się kobieta.

Pięknie, a więc jednak chcą nas zjeść, tylko nie mają tak dużego garnka. Zatem będą musieli nas pociąć na kawałki. Jeszcze lepiej.

– To ja może wrócę, gdy schudnę – zaproponowałem. – Nie chcę sprawiać kłopotów.

– Zamknij się, gnoju! – wrzasnął blondas. – Powinni cię rozwalić na miejscu! Co ty sobie wyobrażałeś?

– Hans – mitygowała kobieta – daj spokój, to przecież nie jego wina. On nie chciał.

– A właśnie, że chciał. Zabijmy smarkacza i wracajmy. Gorzej i tak nie będzie.

– Przepraszam najmocniej – odezwał się mój brat – ale może porozmawiajmy spokojnie. Mam pieniądze i pewne wpływy.

– Panie Marku, niech pan się lepiej nie wtrąca. To pana nie dotyczy.

– To mój brat – zaproponował Marek, robiąc krok w kierunku Marii.

Hans jednym susem znalazł się między nimi; w dłoni dzierżył długi, wąski nóż.

– Słyszałeś, o co pani prosiła. Morda w kubel i dupa na krzesło. A może chcesz, bym ci to wsadził pod żeberko?

Marek posłusznie się cofnął i usiadł na najbliższym krześle.

Hans jak gdyby nigdy nic wrócił do mieszania zupy. Po chwili zapytał:

– Po coście go tu w ogóle przywieźli? Same kłopoty tylko. Jeśli myślicie, że w taki mróz będę doły kopał, to...

Mój brat zerwał się z krzesła.

– Jaki dół? Jeśli sądzicie, że się poddamy...

Maria podniosła dłoń w uspokajającym geście.

– Bez obawy, panie Marku, nikt tu nikogo nie będzie zabijał. Ten typ tak ma. Lubi sobie pogadać.

– Wojna się skończyła, Hans – wtrącił ni z gruszki, ni z pietruszki Andrzej.

W odpowiedzi blondas zaczął mieszać zupę o wiele mocniej, jakby ucierał kogel-mogel, głośno przy tym sapiąc.

– Widzicie, z kim ja muszę pracować? – zapytała nas Maria. – Jeden faszysta, drugi socjopata, a ten... – tu pokazała na naszego kierowcę, który wziął z półki głęboki talerz i szedł do Hansa, najwyraźniej by nalać sobie śmierdzącej zupy – szkoda gadać...

– Nie narzekaj, moja droga – powiedział łysol – jak ci tak nie pasowałem, to przecież mogłaś wziąć profesorka.

– Jasne. Andrzej wyjąłby mu serce przez gardło po kilku sekundach wspólnej drogi. Wystarczyłoby, żeby ten stary dureń otworzył usta.

– Nienawidzę nauczycieli, przez tych skurwysynów dostawałem lanie od matki – odezwał się zapomniany nieco przyjemniaczek, który stał przy oknie i wpatrywał się w zamieć.

– A kogoś pan lubi? – zapytałem jakoś tak odruchowo.

– Tak, matkę. Kocham ją nad życie – odpowiedział, nadal kontemplując śnieg.

Hans i łysol jak na komendę wybuchnęli gromkim śmiechem. Nawet Maria pozwoliła sobie na delikatne uniesienie górnej wargi, choć wyraźnie próbowała się powstrzymać.

– Co w tym takiego śmiesznego, że facet kocha matkę? – zdziwił się Marek. – To chyba dobrze.

Ta uwaga spowodowała, że zaczęli się śmiać jeszcze głośniej. Łysy tak walił pięściami w stół, że zupa z miski ochlapała drewniany blat. Maria odwróciła się tyłem i oparta głową o ścianę pozwoliła sobie na cichy chichot.

Spojrzałem na draba w kapeluszu, obawiając się, że zaraz wpadnie w amok i zakończy tę imprezę gwałtownym finałem, podczas którego będziemy mogli obejrzeć swoje wnętrza rozmazane po ścianach. Ale o dziwo on też się śmiał.

Gdyby zjadali żywcem królika albo uprawiali seks sodomiczny, nie byłoby to aż tak niepokojące, jak ich wspólny, zdrowy śmiech.

– O co chodzi? – zawołałem. – Przestańcie w końcu. Kocha matkę, no i co?

– Andrzejku, a powiedz Darkowi, gdzie przebywa obecnie mamusia – poprosił Hans, który opanował się najszybciej z całej tej popieprzonej sekty popaprańców.

Krościaty podszedł do mnie spokojnym krokiem, pochylił się i zaczął opowiadać jednostajnym głosem:

– Któregoś dnia powiedziała, że powinienem zostać księdzem, bo z taką twarzą jak moja żadna kobieta mnie nie zechce. Dodała też, że żałuje, iż mnie urodziła. I wtedy się rozplakałem.

Zrobiło mi się go szkoda. Rodzice potrafią dopiec.

– Gdy nastała noc i matka zasnęła... – Andrzej podszedł do mnie na odległość metra, pochylił się, spojrzał mi w oczy, i nagle wrzasnął: – Wziąłem siekierę i odrąbałem suce łeb!

Odskoczyłem jak oparzony i przywarłem do ściany. Ani przez chwilę nie miałem wątpliwości, że drab mówi prawdę.

– Kocham ją bardzo, ale mnie wkurwiła – kontynuował. – Nikomu nie wolno mnie denerwować. Potem wziąłem jej ciało i...

– Dosyć tego – zaprotestowała Maria. – Przestań, kretynie. Jak mały zemdleje, to na nic się nam nie przyda.

– Zapytał, więc odpowiadam. Na tym polega dobre wychowanie, nieprawdaż?

– Najlepsze maniery mają Niemcy – oświadczył Hans. – Reszta to dzicz i brudasy.

– Nienawidzę Niemców. – Andrzej spojrzał na chudzielca takim samym wzrokiem, jakim patrzył na ludzi w restauracji, gdy wykańczał ich po kolei, jakby byli muchami. – Nie rozumiem, jak mogliście wymordować tylu ludzi dla zysku. Zamiast mózgów macie gówno.

Wyszarpnął pistolet z kabury i odłożył go wysoko na półkę.

– Aniołek się odezwał. – Hans chwycił mocniej trzonek od noża i stanął w lekkim rozkroku. – Ja nie zabiłbym własnej matki, ani matki nikogo, kogo znam. Nie jestem zwierzęciem jak ty.

– Uspokójcie się, pamiętajcie, mamy zadanie. – Maria bezskutecznie usiłowała ostudzić emocje. Odległość między mężczyznami malała z każdą chwilą.

– No, zaraz przekonamy się, ile wart jest twój cios nożem w serce, bezduszny sukinsynu. Skręcę ci kark tymi dłońmi – to mówiąc, Andrzej wyciągnął przed siebie ramiona, prezentując w całej okazałości palce, którymi bez wysiłku mógłby opasać piłkę nożną.

– Możesz spróbować, kupo mięcha. Wyślę cię do mamusi, nim zdążysz zamrunąć. Pewnie się ucieszy z powrotu synka marnotrawnego. Matka zawsze kocha, nawet jeśli synalek jest pojebem.

Maria podbiegła do łysego, który pałaszował ze smakiem zupę, zagryzając czymś, co kiedyś było chlebem, nim zmurszało, zostało zjedzone, potem wydalone i znów zmurszało.

– Tom, zrób coś. Pozabijają się i wszystko na nic – mówiła, szarpiąc łysego za ramię.

– Ani myślę – odparł z rozbawieniem, jednocześnie nie spuszczać oka z mężczyzn. – Weź sobie zupy i siadaj. To lepsze niż telewizja.

Wrzasnęła coś w nieznanym języku, podobnym do hiszpańskiego, i pobiegła w kierunku zasłony. Gdy zniknęła za nią, dwaj szaleńcy zderzyli się z impetem. Andrzej trzymał faszystę za nadgarstek ręki z nożem, a wolną pięścią starał się go trafić w głowę. Hans skutecznie parował ciosy. Świetnie pracował nogami, nacierał, cofał się, stawał na palcach jak w balecie. Co rusz odrywał stopę od ziemi i wymierzał przeciwnikowi cios kolanem w nerki. To jednak nie robiło wrażenia na olbrzymie, który metodycznie, niczym stalowy golem, zadawał kolejne uderzenia

pięścią. Wyglądali jak wściekłe psy, walczące o przywództwo w sforze. Garnki i puszki spadały z półek, podłoga skrzypiała. W innej sytuacji istotnie wziąłbym kubek popcornu i z wypiekami na twarzy oglądał starcie tytanów, ale teraz miałem ważniejsze sprawy na głowie: przeżyć, uciec i takie tam. Wpadłem nawet na pewien pomysł. Markowi chyba przyszła ta sama myśl do głowy, bo zaparł się dłońmi o blat i naprężył do skoku. Spojrzał na mnie porozumiewawczo. Dobra nasza, a niech się pozabijają. Brat wskazał brodą drzwi, a ja zacząłem powoli przesuwać się wzdłuż ściany. Kiwnąłem głową na znak, że ruszamy.

Dobiegłem do mety, znaczy drzwi, w rekordowym czasie. Dotknąłem dłonią klamki i szybko obejrzałem się za siebie. Spodziewałem się ujrzeć Marka tuż za swoimi plecami, ale on niestety nawet nie oderwał się od stołka. Przy jego skroni tkwiła lufa glocka – rękojeść pistoletu ścisnął kierowca, drugą ręką nadal wiosłując łyżką w misce ze szlamem.

– Siadaj, mały – powiedział łysy z nonszalancją.

– Zwiewaj, Darek, o mnie się nie martw – wyszeptał Marek. – Dasz radę, brej dak.

Łysy przełknął kolejną łyżkę zupy. Odłożył sztuciec i sięgnął po chleb.

– Wzruszające – powiedział. – Oczywiście, że dasz radę, być może nawet dotrzesz do samochodu. Może zdołasz go odpalić. Ale co potem? Znasz drogę przez las? Jak ci się będzie jechało, wiedząc, że naciskając klamkę, zabiłeś brata? Dasz sobie z tym radę?

Psychol i szwab nadal tłukli się zawzięcie. Najwyraźniej kilka ciosów Andrzeja dotarło do celu, bo łuk brwiowy blondasa krwawił obficie, a nos sterczał pod dziwnym kątem. Hans oczywiście nie pozostawał mu dłużny: po nodze Andrzeja, widocznej w rozcięciu spodni, ciekła jucha. Niemiaszek się nie przechwalał, faktycznie nieźle władał nożem. Pomimo odniesionych ran żaden z nich nie tracił

zapału. Najwyraźniej zamierzali się naparzać, aż jeden przestanie oddychać lub skończy się kalendarz nie tyle Majów, co Grudniów.

– Uciekaj, mały, na co czekasz? – ponaglał Marek. – Przecież widzisz, co to za ludzie. O mnie się nie martw.

Oderwałem dłoń od klamki. Nie mogłem go tak zostawić, w końcu to rodzina. Usiadłem posłusznie przy stole.

– Dobry chłopczyk – skwitował Tom, chowając pistolet za pasek od spodni. – Może zupy, panowie?

Smród z bliska okazał się jeszcze trudniejszy do wytrzymania. Oferta poczęstunku przypominała propozycję zjedzenia zawartości szaletu publicznego i popicia ze spluwaczki.

– Ładna walka, nieprawdaż? – zagaił ponownie agent. – Ja obstawiam psychola. Hans może i ma technikę, ale brak mu serca. Miej serce i patrzaj w serce, jak mówi wieszcz.

Zagryzł chlebem. Psychopata wytrącił Hansowi nóż z dłoni. Kopnięta stal poleciała na środek sali. Andrzej, dysponując już obiema rękami, z łatwością przełamał obronę przeciwnika. Wyprowadził dwa szybkie ciosy, które zgruchotały szczękę Niemca. Trzecim powalił go na ziemię, jakby przewracał manekina.

Myślałem, że teraz zacznie się walka w parterze, ale przyjemniaczek postanowił jeszcze nieco pozmiękczać ofiarę siarczystymi kopnięciami wielkich buciorów.

Gdy leżąc na podłodze skrwawiona sterta kości i mięsa zaprzestała jęków, kat przykucnął i położył dłonie na szyi Niemca.

– Tak jak obiecywałem, sukinsynu, tymi dłońmi, skurwielu.

Rozległ się głośny huk. Światło na moment przygasło, a z sufitu posypał się tynk.

– Dosyć tego, do jasnej cholery! – wrzasnęła Maria, która niepostrzeżenie powróciła do izby. Stała w rozkroku, na jej poczerwieniałej twarzy malował się

gniew. W dłoniach trzymała armatę albo strzelbę na mamuty. W każdym razie cokolwiek to było, nadawało się raczej na sprzęt oblężniczy, niż na broń osobistą.

– Uspokójcie się, idioci, bo jak Boga kocham, rozwalę wam te puste łby, jeśli będę musiała.

– Mówilem, że warto poczekać – mruknął łysy. Skończył jeść zupę, a teraz ku naszemu obrzydzeniu wycierał chlebem glutowate resztki z talerza.

Olbrzym podniósł głowę i spojrzał na kobietę. Nie widziałem jego oczu, ale domyślałem się, jak bardzo musiał być wściekły.

Wycelowwała broń w jego głowę i powiedziała:

– No, spróbuj szczęścia. Niewielka strata. I tak go nie używasz, ty bezmyślna maszyna do zabijania, ty...

– Siostrzyczko – zaczął Andrzej, wyraźnie rozbawiony – ja siostry nie poznaję. Broń, groźenie śmiercią. Czy Biblia tego przypadkiem nie zabrania?

– Pan spalił Sodomę i Gomerę. Czymże jest wyrwanie kilku chwastów? Trzy zdrowaśki i po grzechu – wysapała. Jej ręce drżały. Widocznie strzelba zaczynała kobiecie ciążyć, ale komu by nie ciążyła?

Andrzej puścił szyję Niemca. Nie zdążył jeszcze porządnie zacisnąć palców, dlatego Hans tylko cicho rzęził, zamiast stygnąć, jak wypada przyzwoitemu trupowi.

– Może jeszcze będą z siostry ludzie – zahuczał Andrzej, podnosząc się z kolan. Był od niej wyższy o ponad pół metra, ale na twarzy Marii nie zauważyłem ani jednej oznaki strachu. Nacisnęłaby spust, gdyby nie ustąpił. To pewne.

– Siostra to odda, bo jeszcze rączki spuchną. Obiecuję, że dziś już nic nie zrobię Adolfowi. – Andrzej wyjął z dłoni Marii broń, jakby to był gałązka oliwna, a nie kupa żelastwa ważąca kilkadziesiąt kilo.

– Mam was na oku – ostrzegła kobieta, a do smakosza śmierdzącej zupy powiedziała: – A ty, skoro już się najadłeś, podnieś tego drugiego kretyna i połóż na łóżku. Szybko. Na co się gapisz?

– Powinniście dostać Oskara, to było piękne. Wzruszyłem się. Rocky się chowa. Brawo – łysy zaczął klaskać – bis, proszę, jeszcze raz. To poezja. Dla takich chwil się żyje.

– Przestań pajacować. Myślałam, że jesteś dojrzały.

– Dojrzewanie jest nudne i nieprofesjonalne – skwitował, maszerując w kierunku leżącego Niemca. Pochylił się nad nim i niczym rzeczoznawca ubezpieczyciel, szacujący straty po pożarze, taksował wzrokiem dzieło Andrzeja.

– Całkiem ładnie jak na amatora – mruknął cicho i złapał dogorywającego za rękę, a potem sprawnie uniósł do pionu. Oczywiście Niemiec chwiał się na nogach jak dmuchawiec na wietrze i gdyby nie pomoc łysego, wykonałby natychmiastowy pad na ziemię.

Gdy Hans spoczął już na łóżku polowym, całkowicie nieprzytomny, prawdopodobnie umierający – acz nikt się tym specjalnie nie przejął – pozostali członkowie bandy zasiedli wokół stołu. Maria porozkładała naczynia i ponalewała wszystkim zupy. Także mnie i Markowi. Łysy, ku mojemu obrzydzeniu, ochoczo poprosił o dolewkę.

– Posilmy się i w drogę – rzuciła Maria i z takim zapalem wzięła się do pałaszowania zupy, jakby to był żurek z Sheratona.

Spojrzałem w mój talerz. Do smrodu przywykłem. Ale zupa wyglądała jak gluty, w które narzygano, i pozwolono całości zakrzepnąć. Nie potrafiłem jednak odmówić. Zacerpnałem cieczy na łyżkę i zamknąwszy oczy, wsunąłem do ust. O dziwo, nie smakowała tak źle, a nawet dziwnie orzeźwiała. Po kilku łyżkach poczułem się wzmocniony, zaś odrzę zastąpiło zadowolenie.

Marek nie przełknął nawet jednej łyżki. Wpatrywał się w przeciwległą ścianę niczym w telewizor plazmowy, na którym leci finał ligi mistrzów.

Trąciłem go w bark.

– Oprzytomniej, bierz łyżkę i wcinaj.

– Po co? – wyszeptał. – Wy tłumaczysz mi? I tak nas zabijają.

Nadal nie spuszczał wzroku ze ściany. Z każdą chwilą jego podbródek coraz bardziej drżał. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby płakał.

– Nie zabijemy żadnego z was – zapewniła Maria. – Macie moje słowo. Jesteście bezpieczni.

– Powiedźcie to tym ludziom z restauracji. – Marek przymknął oczy i ukrył twarz w dłoniach.

– Widziałem kiedyś taki film: psychopata związał ofiarę, której za chwilę miał zrobić na żywca niepotrzebną operację – wtrącił Tom. – I nim wbił biedakowi skalpel w mostek, mówił: już jesteś bezpieczny, ciii...

– Tom, zamknij się. Andrzej, przestań rechotać. Nie jesteście w przedszkolu.

– Tak, pse pani – odpowiedział Tom.

– Widzieliśmy wasze twarze, nie możecie nas zostawić przy życiu. Przecież to oczywiste – kontynuował Marek.

– To bez znaczenia, uwierzcie – przekonywała Maria. – I tak nikt nas nigdy nie znajdzie. Przecież już wiesz, Dariuszu, kim jesteśmy?

Położyła swą kościstą dłoń na stole. Na serdecznym palcu tkwił duży sygnet z bursztynowym oczkiem w kształcie krzyża. Zamiast najmniejszego palca sterczał zabliźniony kikut.

– Tak, siostró Mario – odparłem, nie całkiem wierząc w to, co nagle do mnie dotarło.

W stresie trudno jest dodać dwa do dwóch. Natomiast na spokojnie wynik może wprawić w zdumienie. Tak jak mnie wprawił. Oczywiście wniosek już wcześniej kołatał mi się gdzieś na obrzeżach świadomości, ale dopiero teraz wypłynął jak koleczasta mina z czasów drugiej wojny światowej, mroząc krew w żyłach.

– W mordę jeża – wyszeptałem – to... ty, wy, on.

– Tak – odparł Tom Stone. – To jest poprawna odpowiedź. Główna nagroda wędruje do Darka Kamińskiego. Jest nią korespondencyjny kurs szydełkowania na elektrycznych drutach, pod napięciem oczywiście.

– Ale przecież to... niemożliwe – zauważyłem. Łyżka wypadła mi z dłoni. Maż ochlapała blat stołu.

– Ktoś kiedyś powiedział, że nie ma rzeczy niemożliwych. Brzmi znajomo? – zapytał Andrzej Bogusz.

– To taka metafora, są przecież pewne prawa fizyki, chemii – próbowałem za wszelką cenę uratować zdrowy rozsądek.

– Naprawdę? – głos dobiegał z kąta, a konkretnie z łóżka, na którym siedział Hans Anker i wyglądał jak nowo narodzony. Tylko poplamiona koszula oraz poszarpane spodnie przypominały o walce z King Kongiem, którą stoczył i przegrał z kretelem.

– Nie, nie, nie, to jakiś chory żart, albo sen. O tak, sen, dokładnie, co za ulga. – Zaśmiałem się sztucznie. – Co za koszmar, uff, a ja już na serio myślałem, że tu wykituję. Teraz tylko wystarczy się obudzić. Zaraz zadzwoni budzik i to wszystko zniknie. Mam nadzieję, że nic nie będę pamiętał, bo taki szajs potrafi nieźle namieszać w czaszce, nawet gdy jest nieprawdziwy.

– Młody, o czym ty mówisz? – zaniepokoił się Marek.

– To sen, brachu. Oni, ta chata, całe to porwanie, trupy w restauracji, a nawet ty. To wszystko zły sen. Rozumiesz? Wow. Ależ mi ulżyło. – Uniosłem dłonie w geście triumfu. – Yeah, co za emocje.

– Darku, muszę cię zmartwić, ale nie wydaje mi się – zauważył Marek. – To wszystko jest bardzo realne, słyszę swoje myśli, pamiętam rzeczy, o których raczej nie masz pojęcia. Twoja teoria nie trzyma się kupy.

– Twój brat ma rację – wtrąciła Maria, a właściwie siostra Maria Clemence z zakonu Pallotynek. – To nie jest sen.

– To żaden dowód, we śnie nie takie bzdury wydają się realne – powiedziałem z przekonaniem w głosie. – Kiedyś obudziłem się i poszedłem do ubikacji, ale tam okazało się, że nadal leżę w łóżku. Więc znów się zwlokłem, ponownie stanąłem nad klopem, i to znów okazało się snem. Gdy po raz trzeci dotarłem do świątyni dumania, byłem pewien, że tym razem to dzieje się naprawdę. Jednak dopiero za piątym razem rzeczywiście udało mi się obudzić.

– A jaką masz pewność, że kiedykolwiek się obudziłeś? – zapytała Maria. – Jak odróżniasz sen od jawy?

– We śnie... – zacząłem, ale nic konkretnego nie przychodziło mi do głowy; co więcej rozgorzała w niej niezła bitwa myśli. Czy gdybym śnił, to mógłbym wątpić w cokolwiek, zastanawiać się tak intensywnie? Ale przecież oni nie istnieją. Znaczy, realnie nie istnieją. Cóż to jest realność? Przecież na jawie nie pali się nigdzie żadna lampka z napisem: „Uwaga. Rzeczywistość”. A jeśli wszystko jest snem, albo co gorsza, wszystko jest rzeczywiste?

Obawy powróciły niczym sępy, które krążą nad człowiekiem przemierzającym pustynię bez jednego buklaka wody. Przepraszam, czy mógłby nam pan powiedzieć – pyta jeden z nich, lądując tuż przed gościem czołgającym się po piasku – kiedy pan zamierza zdechnąć, bo nie wiemy, czy opłaca się czekać. Za tamtą wydmą ponoć padł wielbłąd. Rozumie pan?

Kurde, czy naprawdę śnię?

– Kiedyś ci wkopię, neandertalu – odezwał się Hans i popatrzył mściwym wzrokiem na Andrzeja. – Prawie mnie zabiłeś, kretynie.

– Nie zaczynaj, to nie oberwiesz – skwitowała Maria. – Ostatni raz ci ratuję skórę, sama nie wiem zresztą po co.

– Pierdol się razem ze swoim miłosierdziem, siostrunio – warknął Hans. Podniósł nóż z podłogi i schował do cholewki oficerskiego buta.

Czekam na alarm budzika, powtarzałem sobie w myślach jak mantrę. Lada moment. Już za chwilę. No, zaraz się rozlegnie.

Maria podniosła się z krzesła.

– Musimy ruszać, Darku – powiedziała. – Idziemy, chłopaki.

Cała gromada poszła w jej ślady; oprócz mojego brata, który wpatrywał się we mnie pytającym wzrokiem.

– Wytlumaczysz mi w końcu, o co tu, do cholery jasnej, chodzi?

Chciałem mu opowiedzieć o wszystkim, o tym całym szaleństwie. Byłem ciekaw jego zdania, bo nawet jeśli mi się tylko śnił, to nadal wyglądał na bardzo logicznie myślącego. Niestety nie zdążyłem ust otworzyć.

Siostra Maria, która nie wiedzieć jakim cudem znalazła się za plecami Marka, wbiła mu igłę w ramię i wcisnęła do oporu tłok strzykawki. Brat, nim zdążył uświadomić sobie, co się stało, z głuchym łoskotem zarył twarzą w blat stołu.

– Co ty wyrabiasz? – krzyknąłem i już zamierzałem się na nią rzucić, gdy łapa Bogusza opadła na mój bark, uniemożliwiając oderwanie pośladków od krzesła. – Obiecywałaś. Tyle znaczy twoje słowo?

– Uspokój się – powiedziała kobieta. Wyciągnęła igłę z barku Marka i schowała zestaw do kieszeni. – Nic mu nie jest, po prostu śpi. Musimy już ruszać, a on by tylko utrudniał.

Aż mną zatrzęsło. Zupełnie zapomniałem o teorii ze snem. Znów zacząłem się bać. Dobrze, że górę wzięła wściekłość.

– Jeśli myślisz, siostrzyczko, że zostawię tu brata, to grubo się mylisz. Możecie mnie nawet zabić, nie zamierzam ruszyć się na krok. Rozumiecie?

– Nie pyskuj, gnojku, bo możemy zaraz porozmawiać inaczej. – Andrzej znów włączył te swoje oczy maniakałnego mordercy, ale tym razem na mnie nie podziały.

Może dlatego że odkryłem, kim jest ta pieprzona banda debili.

– Bo co mi zrobisz? Zabijesz? Nie po to mnie ściągaliście, jak mniemam.

Nie miałem zielonego pojęcia o ich planach. Ale wiedziałem, że nie pozwolę im skrzywdzić mojego brata.

– Ale możemy cię, kolego, nieźle poobijać – wtrącił Anker. – Znam kilka niemiłych trików, ale przecież o tym wiesz.

Tym razem szwab skradał się do mnie. Bardzo dużo mi brakowało do umiejętności Andrzeja, więc nasze starcie miałoby raczej charakter jednostronny i potrwałoby sekundę. Mimo to nie zamierzałem ustępować, brat by ze mnie tak łatwo nie zrezygnował.

– Hans, przestań – zaoponowała Maria. – A ty nie dramatyzuj, twojemu bratu nic nie jest. Tom zawiezie go do jakiegoś szpitala, gdzie się nim zajmą. Rano o niczym nie będzie pamiętał.

– Co za głupi sen – spróbowałem po raz ostatni przemówić sobie do rozsądku. – Mam go dosyć.

– Też tak sobie kiedyś powtarzaliśmy, ale ileż można się okłamywać – powiedział Tom.

Razem z Andrzejem wzięli Marka pod ramiona i wynieśli z izby. Nadal nie byłem przekonany, czy siostra Clemence mówiła prawdę, ale cóż mogłem poradzić. Musiałem jej zaufać.

Oficyna wydawnicza [RW2010](#) proponuje:

Piotr Mrok: OLIMPIADA SZALEŃCÓW

Rozejrzyj się. Olimpiada trwa. Musisz zdecydować, czy weźmiesz udział, czy tylko kibicujesz? Może pognasz ulicami miasta w szaleńczym maratonie, ścigany przez futrzaka o mentalności Świętej Inkwizycji? Lubisz strzelać do faszystów? Świetnie, mamy dla Ciebie odpowiednią dyscyplinę. A może wypad na Kapitol z wizytą w baraku, pardon, u Baracka? Jeśli masz dzieci, nie czytaj tekstu *Junior i ośmiu gniewnych*. Lepiej żyć w nieświadomości. A jak nie masz, to od niego zacznij, koniecznie.

UWAGA! Osobom pozbawionym dystansu do świata i do siebie po lekturze *Olimpiady szaleńców* może się pogorszyć. Pamiętajcie, ostrzegaliśmy. A wszystkim radosnym wariatom życzymy dobrej zabawy.

Tomasz Mróz: FABRYKA WTÓRÓW

Wielki ponury budynek w centrum miasta, ginący w szarej kotłownianinie chmur. Nikt w okolicy nie wie, co się tam mieści, i nikt tego wiedzieć nie chce. Ci, którzy dostali się do wnętrza dziwnej budowli, znikają, by po jakimś czasie powrócić – ale zupełnie odmienieni. Strażnik Instytutu przegania wścibskich natrętów, lecz jeśli już ktoś pozna tajemnicę, nie ma drogi odwrotu. Co się wydarzyło setki lat temu na dalekiej Syberii? Kim jest człowiek w czarnej pelerynie biegnący do tramwaju? Czy można przekazać swe życie komuś innemu?

Wedrzyj się do „Fabryki wtórów”, poznaj jej sekrety. Lecz pamiętaj, kto przekroczy progi Fabryki, już nigdy nie będzie taki jak wcześniej.

„Fabryka wtórów” to powieść kryminalna z elementami thrillera i science-fiction, tradycyjnie dla serii z Komisarzem Wątrobą, okraszona dużą dawką humoru i kpiny. Komisarz swoim zwyczajem nie daje za wygraną, dopóki nie dotrze do istoty problemu.

Tomasz Mróz: SZARY CIEŃ

Mylne tropy, zjawiska paranormalne, półświatek, którego życie koncentruje się w miejscowym parku – to sceneria powieści *Szary cień*. Historia dziwnego zgonu i jeszcze dziwniejszego podejrzanego kładzie się cieniem na życiu komisarza Wątroby i posterunkowego Chwiejczaka, nie dając im spokoju przez lata.

W salonie zaniedbanej przedwojennej willi zostaje znalezione ciało młodego człowieka. Z zebranych informacji wynika, że był on związany z tajemniczą sektą religijną. Okoliczności zdarzenia i brak śladów walki wskazują na samobójstwo, jednak symboliczne ułożenie zwłok, niejasne zeznania świadków, jak również sny prowadzącego śledztwo – podsycają podejrzenia, że było to morderstwo. W tym samym czasie w pobliskim parku trwają poszukiwania sprawcy brutalnego pobicia włóczęgi. Policjanci nie umieją, a może nie chcą połączyć tych dwóch faktów. Dopiero upływ lat, wyrzuty sumienia i... nuda starości powodują, że komisarz Wątroba i posterunkowy Chwiejczak postanawiają rozwiązać starą sprawę.

„Błędy się mszczą przez całe życie” – ta sentencja sprawdza się i tym razem, a osoba tytułowego Szarego cienia jest właśnie takim życiowym błędem sprawców zbrodni.

Marcin Orlik: PIASKOSPANIE

Witaj w świecie, w którym granica między jawą a snem nie istnieje – witaj w piaskospaniu. Zdarzyło ci się tuż po obudzeniu mieć to dziwne wrażenie, że rozmawiałeś z kimś we śnie, czując jednocześnie, iż rozmowa odbyła się naprawdę? Przeżywałeś przygody, których nie można doświadczyć w rzeczywistości, a przecież kryły w sobie ten szczególny okruszek realności dowodzący prawdziwości twoich przeżyć? Jeśli tak, może właśnie zdarzyło ci się piaskosnąć...

A teraz wyobraź sobie, że jest tylko piaskosen; że nie istnieje nic innego. Przywitaj się z głównym bohaterem – to jego codzienność. Lewy nie zna swojego imienia. Nie ma pojęcia, gdzie się znajduje. Nie wie nawet, czy posiada ciało. Jedyne, co zna i czego jest pewien, to piaskospanie. Moment, kiedy na twarzy czuje chłodny dotyk miękkiego piasku, by po chwili zobaczyć Miasto. Tam dowiaduje się, jakie przewidziano dla niego zadanie; tam ludzie, którzy mają nad nim władzę, wydają polecenia. Głównym obowiązkiem Lewego jest przesłuchiwanie więźniów. Razem z Prawym wchodzą do cudzych snów, by wyciągać z nich informacje. Ale przesłuchując, można czasem dowiedzieć się za dużo...

Lewy chce się obudzić, bo ile można śnić? Jednak dla niego przebudzenie nie jest prostą sprawą; został wciągnięty w intrygę piaskosniących, którzy za wszelką cenę chcą przedłużyć jego sen i są gotowi poświęcić wszystko, byleby tylko się nie obudził. Mają w tym swój cel...

Marcin Orlik: KSIĘGA STUDENCKA

Nie bez przyczyny mówi się o tym, że studia to magiczny okres w życiu człowieka. Przekonują się o tym na własnej skórze dwaj studenci, kiedy to z głębin nieznanego człowiekowi na padole ziemskim pojawia się Pan Bajzelhaus, obecnością swą czyniąc porządek w mieszkaniu studenckim, co jest absolutnie nie do przyjęcia. A to dopiero początek studiów! Jak więc sobie na nich poradzić? Z pomocą przychodzi *Vademecum Studenta*, obowiązkowa lektura każdego pierwszorzoczniaka, pomagająca odnaleźć się w wysokoprocentowej atmosferze studiów. Dzięki tej książce studenci dowiedzą się, jak poradzić sobie z sąsiadką z dołu, jak przeżyć w noc żywych kserokopiarek i dlaczego warto iść na najnudniejszy wykład świata. Odkryją też prawdziwą wartość uczelnianego papieru toaletowego i mroczne skutki podkradania szarego złota z uniwersyteckich toalet. *Vademecum*, niestety, nie zawsze może przyjść z pomocą i nieraz studenci będą musieli polegać na własnym... spirycie. Czy sobie poradzą? Odpowiedź znajdziecie w pierwszym tomie *Księgi Studenckiej*.

Maciej Żytowiecki: SZUJE, MĄTWY I STRACENY

Od kryminału po urban fantasy. Od science-fiction po dramat. Jedenaście fantastycznych tekstów i jeden autor.

Latająca wyspa plemienia Wilg i Polska okresu PRL-u. Mroczne zaułki Chicago i obca planeta zamieszkała przez nadistoty. Nieodległa przyszłość i czasy barbarzyńców. Poznań i tajemnicza Asylea, gdzie osiadł pewien upiór.

Trzymajcie się mocno.

Jedenaście opowiadań. Dziesięciu bohaterów. A wszyscy to szuje, mątwy albo straceńcy.

Maciej Żytowiecki: MÓJ PRYWATNY DEMON

Chicago, 1939 rok. Miastem wstrząsa seria mordów. Tajemniczy zabójca zbiera krwawe żniwo wśród pracujących dziewcząt, pozostawiając charakterystycznie okaleczone ciała. Przywrócony do służby detektyw Ezra ma mało czasu, żeby rozwiązać zagadkę. Najpierw jednak musi zmierzyć się ze swoimi demonami – być może sam jest bardziej niebezpieczny niż wszyscy zbrodniarze świata. Od brudnych zaułków Chicago, po kraniec wszechświata... Kryminał fantastyczny, jakiego jeszcze nie było.

Andrzej W. Sawicki: KOLCE W KWIATACH

Zbiór opowiadań ze świata powieści *Nadzieja czerwona jak śnieg*. Historii o tym, jak grupa XIX-wiecznych mutantów staje do walki o wolność ojczyzny.

Połowa XIX stulecia. W Warszawie, w okopach oblężonego Sewastopola, na dalekich stepach Syberii, w prowincjonalnych, polskich miasteczkach, trwają przygotowania do buntu, który może zmienić oblicze świata. Obdarzeni boskimi mocami odmienicy muszą zdecydować, po której stronie stanąć w nadchodzącym konflikcie.

Zanim kosynierzy runą na rosyjskie rotty, zanim strzelcy wymierzą broń w Dońców i carskich dragonów, ci od których zależą losy batalii, muszą się odnaleźć.

Nadeszła dla nich pora, by wybrać drogę.

Marek Hemrling: PILLON I SYNOWIE

Reguły gry zostały ustalone dawno temu przez założyciela firmy – Dominika Pillona. Testament określał je bardzo precyzyjnie. Pillon i synowie. Jego synowie. Niektórzy już odeszli, niektórzy jeszcze się nie urodzili, czekając spokojnie na swoją szansę w bezpiecznych objęciach niskich temperatur. Filip jest po prostu jednym z nich – młodszym Pilonem, Pilonem w fazie szkolenia. Wychowany przez zastępczą matkę, pod czujną, choć dyskretną opieką starszych braci, nie ma jeszcze pojęcia, jaka go czeka przyszłość. Wszystko w swoim czasie.

Jego biologiczni rodzice nie żyją od ponad wieku. Założona przez ojca firma wciąż ma niezłe notowania. Życie bez zbędnej filozofii toczy się normalnym rytmem. Bracia trzymają rękę na pulsie. Dbają o własny interes, realizując przy okazji testament Dominika Pillona.

Tymczasem Łagodny Olbrzym wciąż drzemał ukryty w cieniu Dominium...

Emma Popik: TRZECI CYCEK

A gdybyś pewnego dnia się obudził i wymacał z przodu piersi, które wyrosły nocą – to co byś zrobił? Skutki tego niesamowitego odkrycia zawiodły bohatera (bohaterkę?) opowiadania *Trzeci cycek* w głąbię podziemi i nieznaną dotąd seksualności, oraz doprowadziły do zrozumienia własnych odczuć i pojęcia rozmiarów zbrodni, której stał się ofiarą.

Tytułowy *Trzeci cycek* rozpoczyna tom, na który składa się siedem intrygujących i przejmujących opowieści. Kwestie płci, wolnej woli, przeznaczenia, ratowania ludzkości przed knowaniami służb i tyranią systemu, walki o własną tożsamość, marzenia, miłość, prawo do wyboru, relacje między człowiekiem a sztuczną inteligencją. Oto tematy, które autorka porusza z odwagą, mądrością oraz niebywałą wprost empatią, wnikając w dusze kobiety, mężczyzny, robota.

Emma Popik: WYWIAD Z BOGIEM

Kim jest człowiek nazywany przez prosty lud bogiem? Podobno tworzy nowe byty – a to wszak robota bogów. Ale czy jest ważniejszy od wpływowego dziennikarza, który również posiada boską moc? Może wywyższać ludzi swoimi artykułami lub strącać ich w niebyt niesławy byle pomówieniem. Spotkaniu tej dwójki poświęcone jest tytułowe opowiadanie.

Bohaterowie pozostałych, podejmując decyzje, wykonując swoją pracę, wypełniając misje lub rozkazy, mają wpływ na całe miasta, kraje, a nawet planety. Albo intymniej – odmieniają los jednego człowieka, jednej miłości...

Bogowie są jak ludzie: leniwi, skorzy do wybuchów gniewu, oczekują zapłaty i sutego poczęstunku. I czynią cuda. Ludzie są jak bogowie: wszechmocni, niosą śmierć, decydują o życiu, marzeniach i wspomnieniach innych. Lecz wciąż pozostają ludźmi – ułomnymi, popełniającymi błędy, a zarazem wspaniałymi, skłonniymi do poświęceń, kochającymi życie, łakącymi ciepła drugiego człowieka. Bo wszystko można zapomnieć, prócz miłości i tęsknoty.

Emma Popik: NA ZAWSZE PIĘKNIE I MŁODZI

Ofiarowujemy czytelnikom sprawdzoną hard sf. Prezentowane opowiadania – ostre, znaczące i niezmiennie ciekawe – ukazywały się drukiem w *Fantastyce*, *Nowej Fantastyce*, *Science Fiction*, *Fantasy and Horror* oraz w osobnych wydaniach książkowych; wśród nich *Mistrz* – uznany za jedno ze stu najlepszych polskich opowiadań. Zebraliśmy je razem i wierzymy, że tą literacką ucztą zadowolimy zarówno wyrafinowanych smakoszy, jak czytelników lubiących po prostu dobrą, „męską” prozę, pełną akcji, przegód, mocnych scen, ale niepozbawioną refleksji.

Mistrzynie Małej Apokalipsy prowadzi czytelnika do dzikich dzielnic, gdzie rządzi zdegenerowana technika, ciągnie go w podziemia kryjące gigantyczne zespoły maszyn, zamka go wraz z nimi w domu, a potem wiedzie do Terminalu, skąd zamiast do raju obiecanego trafia do ludzkiego piekła.

Szokujące wydarzenia, nowe światy i fascynujące pomysły – oto recepta na doskonałe opowiadania.

Emma Popik: WIGILIA SZATANA

Kolejny rewelacyjny zbiór Emmy Popik to smakowity kąsek dla pasjonatów dobrej fantastycznej prozy i mocnej hard sf, wgryzającej się w mózg i przepalającej trzewia.

Tym razem autorka wprowadza nas w świat, który zostanie zbawiony przez... Szatana. Chcesz takiej apokalipsy, takiego końca i nowego początku? Nie chcesz? A jeżeli żadna inna wyższa siła się nie kwapi? Jeżeli Opatrzność odwróciła się od świata i ludzkości?

Coś dla czytelników o stalowych nerwach. *Wigilia Szatana* to kolekcja przejmujących, mocnych opowiadań o upadku cywilizacji, słabości i błędach człowieka, o zbrodniach, które popełnia na najbliższych oraz na otaczającym go świecie. Ciebie to nie dotyczy? Więc lepiej przejrzyj się w lustrze, geniuszu. Kto oddaje własne dzieci do domu dla niepełnowartościowego materiału ludzkiego? Kto kazał przyrodę *Zapakować w pudełko* i bezwzględnie ją kontroluje, tym samym uśmiercając własny gatunek? Kto pozwala wyzyskiwać się różnym cwaniakom, nazywających uczucia *Zespołem nieprzystosowania społecznego*? Kto daje się otumaniać bankierom, maszynom, systemom, urzędowi, kto wierzy w boga wiecznych promocji? Nie wiesz? A może po prostu nie lubisz *Kłopotliwych pytań*, podważających obowiązujące prawo i naukę.

Uspakajając własne sumienie, zapewniasz, że świat nigdy nie będzie tak wyglądał. No to rozejrzyj się wokoło...

Tomasz Mróz: PRZEJŚCIE A8

Kryminał nie z tego świata. Mamy tu: tajemnicze zabójstwa, kuszenie, cyrografy, złote sztabki, walkę dobra ze złem, satyrę i pełne ironii obserwacje rzeczywistości..

Przejście A8 to kryminał paranormalny, w którym miesza Nowak. Znowu spotykamy komisarza Wątrobę (w roli kuszonego), posterunkowego Chwiejczaka (niezłomnego) i nieśmiertelną ławeczkową trójkę (Pająk, Marian i Stalowy), która postanawia iść... do pracy. Cud boży? Raczej szatańskie sztuczki.

Co zrobić, kiedy w twoim życiu pojawi się Nowak? Jak uchronić się przed jego knowaniami, bandą arabskich górników oraz fanatyzmem Bolka z działu marketingu? Jakie zalety ma mały mózg w dużej głowie? W *Przejściu A8* zostały połączone rzeczy straszne i śmieszne, płytkie i głębokie oraz wysokie i niskie. Wynik jest zaskakująco pozytywny oraz pozytywnie zaskakujący.

Katarzyna Kowalewska: PIJANY SKRYBA

Maciej, Sylwek i Mario kontra bardzo źli ludzie.

Bycie Maćkiem to łatwizna. Wystarczy żyć ze spadku, mieć dobrze zbudowanego kumpla, wracać do domu nad ranem i podrywać dziewczyny o dziwnym głosie. Aha, i wypiąć się na rodzinę. Lecz gdzieś w środku imprezy, gdzieś między Brzeską a Targową, ktoś robi Maćkowi kuku, ktoś okrada jego mieszkanie, ktoś zostawia mu list. A to dopiero początek kłopotów.

Wyjście z tarapatów ma zapewnić makieta, latynoska córka polskiego Amerykanina i podróż do przeszłości. Kto wygra bitwę na kury? Co skrywa pudełko od przekupki ze Zgierza? Co łączy punk rocka z wojskiem polskim? Kim jest człowiek w gumofilcach? Jak kłątwa *voodoo* działa na odległość? Co można ukryć w męskich spodniach?

Na te i inne pytania odpowie Maciek i jego ekipa komorników. W szalonej powieści, pełnej ciętego humoru, dziwnych przypadków i nagłych zwrotów akcji. Spróbuj się nie roześmiać!